

POŻEGNANIE

Poduszka wbita w róg u wezłowia łóżka wymagała poprawienia. Błady, różowo-szary wzór powłoczki był tak sprany, że wydawał się prawie przezroczysty. Nie tak miało być. A jednak było. Natalia umierała. Lekarze nie dawali już większych szans. Jakub i jego ojciec, a właściwie ojczym, siedzieli przy łóżku na twardych szpitalnych krzesłach.

Jakub przyglądał się matce. Była niewysoka, ale w przeszłości zawsze dosyć pulchna. Teraz, gdy przez chorobę bardzo schudła, wydawało się, że jej kruche ciało zapada się coraz głębiej i głębiej w pofałdowaną szpitalną pościel. Nic nie mówiła. Miała zamknięte oczy, ale obaj mężczyźni wiedzieli, że nie śpi. Dziwny, smutny, a zarazem senny nastrój udzielił się wszystkim. Szpitalna sala, mimo że prawie pusta, była wypełniona gęstym powietrzem. Wiosna, za oknami o szybach zamalowanych od parapetu do połowy ich wysokości, zdawała się być jakby z innego, nierealnego świata. Jakub patrzył w te okna i czuł, że to, co jest za nimi, już do niego nie należy i nigdy nie będzie należało. Po długiej chwili milczenia matka otworzyła oczy i spojrzała na syna, a potem na Mikołaja.

– Jesteście tu?... To dobrze.

Dojrzały, lekko siwiejący mężczyzna delikatnie dotknął jej drobnej dłoni.

– A gdzie mamy być, Natka? – zapytał cicho.

– To już koniec idzie na mnie... – szepnęła.

– Przestań gadać głupoty! – przerwał jej gwałtownie, chociaż wiedział, że to prawda.

Od początku to był wyrok. Nowotwór trzustki. Nieuleczalna choroba, w dodatku odkryta w tak późnym stadium... Lekarze zrobili, co mogli, lecz większych szans nie dawali od początku. Mimo to każdy jakoś tak po swojemu wierzył, że będzie dobrze. Po diagnozie poszli całą rodziną do kościoła, dali na mszę o zdrowie; jedną, a potem drugą, gdy się pogorszyło. Modlili się. I tyle. To trwało kilka miesięcy. Wydawało się,

że czas cierpliwie pozwala im na oswojenie się z chorobą. Jednak nie do końca. Na śmierć nigdy nie jest się dostatecznie przygotowanym. Mikołaj to wiedział. Jakub też. Myślał teraz o tym wszystkim, patrząc na ojczyma. Jak właściwie Mikołaj znalazł się w ich życiu? Piętnaście lat młodszy od matki, nigdy nie pozwalał, żeby odczuła tak dużą różnicę wieku między nimi. Nawet teraz patrzył na nią z uczuciem smutku i tkliwości w oczach. „Jak to się zaczęło?” – Jakub próbował sobie przypomnieć.

Był 1939 rok. Wczesnojesienne słońce oświetlało czerwone dachy ostatnich stojących tuż przy granicy wsi domów. Mimo że zachodziło, powietrze było parne. Dzieci różnego wzrostu i postury, ale – o dziwo – przeważnie o białych włosach zganiały krowy z pastwisk. Ja także, pamiętam, szedłem boszo za dwiema naszymi krowami. Właściwie to prawie biegłem, bo mleko z wieczornego udoju potrzebne było do zacierki na kolację. Matka musiała jeszcze zdążyć wydoić te krowy i ugotować zupę, zanim ojciec przyjdzie z lasu. Nagle za plecami usłyszałem zbliżający się miarowy zgrzyt żelaza i chrzęst żwiru polnej drogi.

– Ojciec w domu? – Stary Schulz zwolnił, ale nie zsiadł z roweru.

– Dzień dobry! Chyba jeszcze nie. W lesie za rzeką robi, to późno będzie – wyjaśniłem skrupulatnie.

– Powiedz ojcu, żeby był w domu wieczorem – rzucił szorstko, mijając mnie, i pojechał w stronę wsi.

Krowy statecznym krokiem weszły na podwórko, ja za nimi. Moje boscie pięty wzbijały małe obłoczki kurzu. Tata mył się przy studni, ale gdy powiedziałem mu o niedawnej rozmowie z Schulzem, przestał.

– To wszystko, co powiedział? – zapytał cicho.

– Mhmm.

– Zawołaj matkę. Szybko! – powiedział dziwnie zmienionym głosem i w pośpiechu starym ręcznikiem zaczął wycierać ręce aż po ramiona.

Potem kazali mi iść do domu. Długo nie przychodzili. Znużony i głodny patrzyłem na podwórko przez jedną z małych szybek w kuchennym oknie. Zapadał zmrok, a oni wciąż stali w tym samym miejscu przy studni i na przemian to o czymś gwałtownie rozmawiali, to na długie chwile popadali w milczenie. Gdy było już prawie ciemno, do stojących rodziców podjechał ktoś na rowerze. Domyśliłem się, kto to. Nie lubiłem starego Schulza, bo i on nie lubił nikogo z nas, Polaków. Dzisiaj wiem, że relacje polsko-niemieckie na pograniczu nie były łatwe – przepelnione wzajemnymi złośliwościami, niechęcią i nietolerancją. Wtedy czułem tylko narastającą złość. Nadchodziła noc, a ja byłem po prostu głodny. W końcu Schulz odjechał, a matka wolnym krokiem poszła w stronę obory, skąd słychać był ryki niewydojonych krów. Ojciec wciąż stał przy studni. Bez koszuli i z tym starym ręcznikiem w opuszczonej bezwładnie ręce.

Kolacja była później niż zwykle. Matka wolno kroїła chleb. Drewniany trzonek noża od dawna chwiał się i groził rozsypaniem. Nigdy nie było czasu, by go naprawić. Ojciec chwilę przyglądał się tej powolnej, jednostajnej czynności, po czym wyszedł, a za moment wrócił z kawałkiem cienkiego drutu. Delikatnie wyjął nóż z dłoni matki i zdecydowanie okręcił trzonek kawałkiem metalowej nici. Kosmyk zaczesanych do tyłu ciemnych włosów opadł mu na czoło. Oczy miał smutne. Patrzył tylko na matkę. Oddał jej nóż, a potem długo trzymał jej dłonie w swoich. Po kolacji sam położył mnie spać. Matka siedziała przy stole. Głowę pochyliła nisko. Już prawie zasypiając, spojrzałem na nią. Nie widziałem twarzy, ale wiem, że płakała.

Następnego ranka obudziłem się wcześniej niż zwykle. Niepokój poprzedniego wieczoru nie pozwolił mi spać dłużej. W moim ciele nie było ani śladu snu. Ostrożnie podszedłem do starych drewnianych drzwi i je uchylilem. Zaskrzypiały. Matka podniosła głowę. Siedziała przy stole. Była blada, a jej oczy były tak smutne, że od razu się domyśliłem, że stało się coś bardzo złego. Ojca nie było.

– Ojca Niemcy zabrali – powiedziała, z trudem ukrywając przerażenie w głosie.

– Gdzie?! – krzyknąłem.

– A wiadomo to? Pewnie tam, gdzie innych, gdzie Borutę, wujka Heńka i pana Żalińskiego.

– Do Radzimia? – Pytanie nie chciało mi przejść przez gardło, ale wydusiłem je z siebie. Powiedziałem to, o czym podświadomie wiedziałem od wczorajszego wieczoru.

– Teraz to chyba tu, do nas, do tej starej szkoły. Tam wszystkie te chłopcy siedzą... – Matka zamilkła, ale tylko na chwilę. – Wiedziałam, że tak się to skończy. Trzeba było dać spokój tym Szwabom! – Zaczęła płakać. – A mało to razy mówiłam jemu, żeby już przestał, że już wystarczy. Nie dał se nic powiedzieć, najmądrzejszy we wsi był i innych podpuszczał. A na koniec to jeszcze psa musiał temu Caumannsowi otruć. A to wiadomo było już, że wojna przyjdzie, już się Niemce szykowali, już się zbierali na zebrania. I tu u nas też! To głupi wolał tego nie widzieć. Teraz ma, czego chciał. I my też, dzieciaku! I co jemu, wariatowi, ten pies przeszkadzał. Stworzenie Boże, a że niemieckie – trudno. Zwierzę nie wie, u kogo przy budzie stoi, u Polaka czy Niemca. Jemu bez różnicy! – Matka nie mogła przestać mówić.

Dopiero teraz dotarło do niej, co się stało i jakby cały świat był temu winien. Lecz świat jej nie odpowiadał. Byłem tylko ja, stałem boso na progu kuchni i patrzyłem na nią. A krowy za otwartym na podwórze oknem ryczały coraz głośniej, bo i o nich świat zapomniał. To mnie otrzeźwiło. Ojca nie było, nie miał kto się nimi zająć, wydoić i na łąkę wyprowadzić.

– Mamo, niech mama przestanie! Może go wypuszczą? Może to za karę tylko na trochę? – Podeszedłem do niej, objąłem za głowę i mocno przytuliłem. – Krowy trzeba wydoić – dodałem cicho.

– Tak dziecko. Już idę... – Matka wstała.

Ubrana była tak samo jak poprzedniego dnia. Wolno poszła w stronę wyjścia, a po chwili usłyszałem znajomy skrzypiący jęk otwieranych drzwi obory. Usiadłem przy stole i patrzyłem w okno. Zawsze to lubiłem. Świat za oknem wydawał mi się trochę tajemniczy, nierzeczywisty, jakby okienna rama, szyby i okiennice stanowiły przejście do innej rzeczywistości – którą znałem, bo bywałem w niej przecież często, a równocześnie nie znałem. Taki świat po tamtej stronie. Teraz też za oknem był niby zwyczajny dzień. Taki jak wczoraj i każdego dnia wcześniej, a przecież zupełnie inny. Pusty. Jakby coś się skończyło. Jakby ktoś umarł.

Mucha łąziła po zakurzonej szybie.

– Ojca zabrali? – Na dźwięk głosu starej ciotki Jaśkowej ocknąłem się z zamyślenia.

Pokiwałem głową, a łzy same napłynęły mi do oczu. Nie chciałem płakać, przecież miałem już jedenaście lat. Nie byłem dzieckiem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ciotka jednak nie zdawała sobie najwidoczniej z tego sprawy. Usiadła obok i zaczęła głaskać mnie po głowie.

– Tak, tak, dzieciaku. To się dopiero zaczyna ta cała wojna. Dopiero się zaczyna...

Pół godziny później, myśląc bez przerwy o ojcu, biegłem już za naszymi krowami na łąkę. Budynek dawnej szkoły stał nieopodal tej naszej łąki. Widziałem zarys murów, dochodząc do jej brzegów. Wystarczyło tylko przejść całą jej długość, przeskoczyć wąski rów z wodą i okrążyć podmokłe bagienko porośnięte gęstymi krzakami, by zobaczyć wysoki budynek z czerwonej cegły. Kierowany jakimś dziwnym niepokojem i ciekawością tak właśnie zrobiłem. Teraz budynek i jego otoczenie ogrodzone były metalowym płotem, wysokim na ponad dwa i pół metra. Nie wiem, kiedy tam dotarłem. Podczołgałem się do siatki najbliższej, jak mogłem, i leżąc na brzuchu, patrzyłem w głąb rozległego podwórza. Bardzo się bałem. Po podwórku kręciło się kilku niemieckich żołnierzy, a przy bramie stała ciężarówka. W pewnej chwili z budynku wyprowadzono kilku, może kilkunastu mężczyzn. Kolejno wchodzili na pakę dużego samochodu. Zaczął wiać silny wiatr, chmury przesunęły się po niebie i zasłoniły słońce. Mimo że dochodziło dopiero południe, zrobiło się ciemno jak o zmierzchu. Wtedy wyprowadzili ojca. Był wysoki i barczysty, praca w lesie dodała mu mięśni. O jakieś pół głowy przewyższał młodego żołnierza, który szedł obok. Stanął przed przyczepą ciężarówki, nacisnął na głowę czapkę, którą dotąd niósł w rękę, i po chwili zniknął w głębi samochodu. Leżałem jeszcze wśród szarpanych wiatrem wysokich traw, czekając, aż ciężarówka odjedzie. I jeszcze długo później.

Wrzesień się skończył. Poranki były coraz chłodniejsze. Pomagałem wtedy matce najlepiej, jak umiałem. Sąsiedzi też przychodzili, głównie kobiety, bo razem z moim ojcem zabrano jeszcze trzech innych mężczyzn z naszej wioski. Stosunki z

Niemcami się pogorszyły. Tego, co się stało, nie można było zapomnieć. Ale trzeba było nadal obok siebie żyć. Tym bardziej, że każdy Polak dostał przydział przymusowej pracy u niemieckiego sąsiada. Matka też chodziła codziennie do pani Kluge do arbajta.

Frau Kluge była surową, milczącą kobietą i nie lubiła Polaków, ale moją matkę na swój sposób akceptowała. Mawiała nieraz:

– Rulewska, wy to się do roboty nadajecie. I czysta jesteście zawsze. Sehr gut, do dzieci was wezmę. Ale jakby ja kiedyś brud widziała, brudne ręce, to zaraz na pole z innymi Rulewska pójdzie. Ordnung ist am wichtigsten!

Był to czas, gdy do wsi przywożono niemieckimi samochodami robotników do pracy w rolnictwie. Głównie mężczyzn i młodych chłopców, ale było wśród nich też kilka kobiet. Matka mówiła, że to robotnicy przymusowi, tak jak my teraz, tylko że ich domy są daleko, i pokazywała ręką na wschód. My, dzieciaki, szybko zauważyliśmy, że to ludzie nie z naszych stron. Mówili trochę inaczej, jakoś tak śmiesznie, jakby dziecinnie, i na początku trochę śmialiśmy się z nich. Zwłaszcza jeden bardzo młody chłopak budził naszą dziecięcą ciekawość. Mikołaj. Przydzielono go do pracy razem z dwoma innymi mężczyznami w gospodarstwie Moltkego, na końcu wsi. Był tylko parę lat od nas starszy, wysoki, niebieskooki. Włosy miał dużo dłuższe niż my, zaczesane do tyłu. Gdy się pojawiał na drodze, ciągnąc drewniany wózek z workami ziemniaków z pola lub prowadząc konie Moltkego do kowala w następnej wsi, biegliśmy za nim i wołaliśmy: „Miszka, Miszka, gruba kiszka!”. A on odwracał się do nas, robił groźną minę i warczał jak pies. W jego niebieskich oczach czaiły się jednak wesole iskry. Wieczorami w soboty i niedziele robotnicy zbierali się pod lipą na końcu wsi, umyć i czysto ubrani. Często śpiewali, a tak pięknie, że aż robiło mi się smutno i przypominał mi się ojciec. Mikołaj też przychodził. Siedział oparty o pień starego drzewa i z jego suchych, odłamanych konarów strugał dla nas, dzieciaków, drewniane pistolety i proce. Kucaliśmy wokół niego półkolem i wpatrywaliśmy się w rytmiczne ruchy noża. Tłumaczył, że tam, gdzie mieszkał, w małej wsi pod Lwowem, zostało jego rodzeństwo.

– Takie samyje bąki jak wy – mówił, a my niby to obrażaliśmy się, ale jak wyciągał w naszą stronę rękę z kolejną drewnianą zabawką, braliśmy łąpczywie, zachwyceni takimi prezentami. Z czasem na te spotkania zaczęli też przychodzić polscy mieszkańcy naszej wsi. Raz nawet poszła tam matka wyciągnięta przez ciotkę Jańską.

– Chodź, dziewczyno, rozerwiesz się trochę, przestaniesz myśleć o Janku – nakłaniała stara i mądra kobieta. Matka nie chciała, była zmęczona i cały czas smutna, ale ja też ją namawiałem, przeczuwając, że jak pójdę, to pewnie zobaczę tam Mikołaja i może uda mi się wyzebrać od niego jakąś zabawkę, więc w końcu matka poszła. Już z daleka słychać było znaną nam, dzieciakom, melodię:

A gdzież moje kare konie?

A gdzież moje lejce?

Ej, na wschodzie zakochanie.

Na zachodzie serce.

Hej, na wschodzie zakochanie.

Na zachodzie serce.

Pochyliła się wisienka

Z rana do wieczora.

Czemu żeś ty, miła moja,

Smutna, niewesoła?

– A kto to tak śpiewa? – zdziwiła się matka.

– To pewnie Mikołaj! – palnąłem, chociaż wcale nie byłem pewien.

I rzeczywiście, to nie Mikołaj śpiewał, tylko ten rudy Walery od Schulzów, a Mikołaj siedział pod drzewem i jak zwykle strugał coś zapamiętane, ale gdy podeszliśmy bliżej, podniósł głowę i się uśmiechnął. Puścił do mnie oczko, a w stronę mojej mamy i ciotki uklonił się trochę szarmancko, trochę zabawnie, zdejmując zamasyżację jasną płócienną czapkę. Tak matka poznała Mikołaja.

Tego wieczora długo zostaliśmy pod lipą, rozmawiając z nowymi „przymusowymi” sąsiadami. To znaczy matka rozmawiała, a ja przysłuchiwałem się z ciekawością. W końcu dowiedziałem się czegoś więcej o życiu Mikołaja. Pochodził ze wsi Starzawa pod Lwowem, z niewielkiego gospodarstwa. Miał jeszcze pięcioro rodzeństwa, ale gdy najstarszego brata wzięto do wojska, na niego spadł obowiązek zadbania o rodzinę. Ojca miał już starego i dość schorowanego, więc pomagał mu jak umiał, a gdy Niemcy wydali dekret, że z każdego domu we wsi jeden mężczyzna ma się zgłosić jako robotnik przymusowy do pracy u Niemców, od razu zdecydował, że on pójdzie, bo ojciec nie przeżyje tak dalekiej podróży, nie mówiąc już o ciężkiej pracy fizycznej. Mimo że był za młody, nie miał jeszcze przecież szesnastu lat, Niemcy się zgodzili. Na podrobionych dokumentach dotarł aż tu, na Pomorze. I tak tu żyje, pracuje już drugi miesiąc.

– U Moltkego źle nie mają – tłumaczył śpiewnym głosem mojej mamie. – Pracować trzeba ciężko, wiadomo, ale jedzenia dostają dosyć, wieczory mają wolne, a jeszcze za dobrą robotę Moltke papierosem poczęstuje czasami.

Mama opowiadała o nas, o tym, że ojca zabrali Niemcy na samym początku września i nie wiadomo, co dalej z nim i z nami będzie. Wtedy dopiero się dowiedziałem, że ojciec został zatrzymany jako „podżegacz przeciwko niemczyźnie” i z tej naszej dawnej szkoły przewieziony na przesłuchanie do więzienia w Tucholi, a potem z wyrokiem pobytu w obozie pracy w Radzimiui został tam wywieziony wraz z innymi. Matka mówiła też, że obóz jest nadzorowany przez miejscowe oddziały Selbstschutzu, że zna Niemców, którzy do nich należą, i próbuje uzyskać zgodę na odwiedziny, ale na razie bez skutku. Niewiele z tego rozumiałem, ale się domyślałem, że z ojcem dzieje się coś bardzo złego. Siedzieliśmy wszyscy pod starym drzewem. Noc była wyjątkowo ciepła jak na połowę października. Pachniały suche liście, a gwiazdy świeciły wysoko między gałęziami lipy. Widziałem je, gdy śpiący położyłem głowę na kolanach matki. Jeszcze przez sen słyszałem słowa jakiejś rzewnej piosenki, a potem silne męskie ramiona chwyciły mnie i przez mrok zaniósły do domu.

Odtąd Mikołaj zaczął do nas zaglądać, mimo że nie pozwalano robotnikom na takie odwiedziny. Pomagał matce przy naszej jedynej krowie, bo drugą matka oddała

Schulzowi, żeby pomógł załatwić odwiedzin u ojca. Mikołaj przynosił czasem trochę ziemniaków, które ukradł Moltkemu, czasem kilka jajek. Widać było, że dobrze się rozumieją z moją matką, chociaż dzieliła ich przecież duża różnica wieku. Mama nawet czasem się uśmiechała, gdy opowiadał jakieś zabawne historie lub śpiewał te swoje piosenki. Przyzwyczałem się do jego wesołej obecności.

Któregoś z pierwszych dni listopada przyszedł do nas stary sąsiad Ogiński. Zapukał nieśmiało, stanął w progu, zdjął czapkę i ścisnął ją w dłoni.

– Waszego męża ja widział. W Tucholi na rynku razem z innymi dawny kościół rozbierali.

Matka podeszła do niego szybko, pociągnęła za tę rękę z tą czapką w głąb kuchni.

– Co Ogiński wie? No, niech mówi! Ścisnąła jego rękę oraz mocniej w swoich dłoniach i wpatrywała się w niego uporczywie.

Starszy mężczyzna, zwykle wesoły i dobrotliwy, był teraz bardzo poważny. Musiał powiedzieć coś ważnego i trudnego.

– Pilnują ich tam, podejść nie można. Ale ja znam jednego takiego volksdeutscha, Rinka, nawet spowinowacony z nim jestem trochę, „wujku” do mnie mówi szwabska menda! I patrzę, a on tam właśnie pilnuje. Więc podchodzę, że niby ognia do papierosa nie mam, i pytam, co z nimi, czyli z tymi Polakami, będzie. „A co ma być?” – on mi odpowiada. „Kościół rozbiorą, cegły zwiozą na rozbudowę tego więzienia przy Nowodworskiego, a sami do lasu. Kaput, jak ci przed nimi. Mało już im zostało tego życia” – westchnął obojętnie. „I nic się nie da zrobić? Człowieku, przecież to ludzie! Tacy sami, jak ty czy ja?!” Rink przełożył tylko karabin na drugie ramię i spuścił wzrok. „A może chociaż jednego uda się uratować? Tego tam” – pokazałem głową na twojego Janka. „O! Z tym to już próbowali. Nawet ten Schulz od was ze wsi gadał o nim z komendantem, ale mowy nie ma. Policzeni wszyscy dokładnie, księgi, zapisy, wyroki. Nie przejdzie”. Pokiwałem tylko głową, bo i co tu więcej gadać, a i inni strażnicy zaczęli się nam przyglądać. Już chciałem odejść, kiedy ten zawołał mnie cicho. „Wujek, może by się udało, żeby choć na noc przyszedł pożegnać się z żoną. Jedziemy codziennie koło waszej wsi tu do roboty, to bym go

wypuścił koło tego krzyża u was na rozstaju, ale rano musi być w obozie. Bo inaczej sam po niego przyjdę. I po rodzinę całą” – mówi. Wierzyć mi się w to nie chce, ale czekaj Natalia, może rzeczywiście Janek w nocy przyjdzie. Tyle ci chciałem powiedzieć, dziewczyno.

Stary Ogiński zakończył swoją opowieść, stojąc na środku kuchni. Słysząc było bulgotanie kaszy pod przykrywką garnka i spokojny oddech mojej matki.

Wieczór nadszedł jak każdy inny wcześniej i później. Matka wyciągnęła wody ze studni, zagrzała w wielkim kotle na kuchni, wykąpała mnie, a potem sama umyła się za zasłonką, oddzielającą część kuchni przeznaczoną do mycia. Ubrała nas oboje odświętnie, czyli w to, co mieliśmy najlepszego. Sama włożyła brązową suknię z haftowanym białym kołnierzykiem, a ja miałem na sobie koszulę zapiętą po samą szyję, której kołnierzyk dusił mnie niemiłosiernie, i moje jedyne długie spodnie z grubego sukna. Ciepło było w kuchni od tego grzania wody, ale nie marudziłem. Jeść nie mieliśmy specjalnie co, bo przydział na chleb był coraz mniejszy, ale nie wiem skąd tego wieczoru na stole pojawił się i chleb, i kawałek masła, a mama zaczęła smażyć na dawno nieużywanej patelni jajecznicę. Wiedziałem, że to dla ojca, chociaż nie mogliśmy być pewni, czy przyjdzie.

Nagle drzwi zaskrzypiały cicho i stanął w nich mój ojciec. W pierwszej chwili poznałem go tylko po wzroście, bo prawie nie mieścił się w futrynie. Był bardzo wychudzony, skóra mu poszarzała, a oczy zapadły się w głąb twarzy. Ale kiedy odezwał się na powitanie, natychmiast zerwałem się z krzesła, podbiegłem do niego i objąłem w pasie, matka też szybko podeszła. Czulem jak mocno przytula nas obu.

– Jasiu, Jasiu... – powtarzała, a ojciec płakał.

Trwaliśmy tak dłuższą chwilę, lecz w końcu ojciec odsunął nas od siebie.

– Nie ma co się mazgaić! Daj się umyć, Natalka, strasznie zaśmiardłem w tym obozie – próbował żartować.

Mama wyszła, a po chwili już dźwigała wielką metalową balię, którą postawiła na środku kuchni. Ojciec chwycił mocno kocioł stojący w rogu paleniska i całą jego zawartość wlał do balii. Buchnęło z niej gorącą, wilgotną parą.

– Daj tu trochę zimnej wody, Kubuś, bo się ugotuję! – krzyknął do mnie.

Śmignąłem po wiadro, udając, że to dla mnie żaden ciężar, i jakoś doniosłem w pobliże balii. Ojciec rozebrany do naga wchodził już brudnymi poranionymi stopami do wody, a ja wlewałem zawartość wiadra powoli, ochładzając wrzątek.

– Wystarczy. – Ojciec usiadł w wodzie z podkulonymi kolanami. Matka podeszła i powoli, co chwila mocząc kawałek flaneli i pocierając go kawałkiem szarego mydła, myła ojca. Był naprawdę brudny i teraz dopiero widać było, jak bardzo jest chudy. Przyglądałem się tej dziwnej ceremonii mycia, jakby pożegnania z ciałem ojca. Wydawało mi się, że trwa to już wystarczająco długo.

– Głodny jestem! – krzyknąłem, bo znudziło mi się to siedzenie i patrzenie. Ojciec zaśmiał się dźwięcznie. Ten śmiech utkwił w mojej pamięci na lata.

– Już jemy! Co tam masz dla nas na tę uroczystą kolację, Natałko? Syn nam się niecierpliwi! – Mimo tych ciągłych żartów nikomu nie było wesoło. Coś strasznego ścisnęło mnie za gardło. Czy naprawdę widzę ojca po raz ostatni? Czy możliwe jest to, co rano mówił stary Ogiński? Niepokojące myśli przeszkadzały mi skupić się na rozmowie przy stole. Nagle z zamyślenia wyrwało mnie znajome imię.

– Mikołaj – mówiła matka – taki robotnik ze wschodu, przywieźli go tu tak jak i innych. Młody, dzieciak jeszcze.

– To nic – przerwał jej ojciec dziwnym, stłumionym głosem. – Chłop tu potrzebny. Czasy są złe. Nie wiadomo, co kolejny dzień przyniesie. A ja już nie wrócę, wiesz o tym? – upewnił się. – Nie wrócę, widzimy się dzisiaj ostatni raz. Zaraz zresztą muszę iść, bo jak się nie stawię przed godziną policyjną, to przyjdą po was. O sobie nie myślę, bo swój los znam, niedługo on już, ale wy musicie żyć! Natalia, pomyśl o sobie, o dzieciaku! Schulz mówił, że to doby chłopak, pracowity, i że jest za tobą. Trudno, widać taki los, że swoją kobietę innemu oddaję, ale już tylko śmierć przede mną. Spokojny będę przynajmniej, jak mi kulkę w łeb będą pakować. I obiecuj mi, że Kubusia zmarnować nie dasz. A po wojnie przyjedziecie może kiedy do tego lasu w Rudzkim Moście, wiesz... – zawiesił głos – ...świeczkę zapalić. Ja tam będę leżał.

Matka milczała. Ja też. Rozumiałem wszystko. Wiedziałem, że inaczej już nie będzie. Ojciec nawet nie spróbuje uciekać czy się ukrywać, bo zagrożono mu, że wtedy Niemcy przyjdą po nas. Że zabiorą mnie i matkę. To był ostatni raz, kiedy go

widziałem. Posiedział jeszcze z nami, ale nie za długo, bo bał się patroli policyjnych, a od obozu w Radzimię dzieliło go kilka kilometrów. Tej nocy spałem w łóżku razem z matką. Przytuleni do siebie płakaliśmy.

Jakub przerwał rozmyślenia. Popatrzył na Mikołaja, teraz jemu przyszło żegnać się z jego matką. Wciąż trzymał ją za rękę, a ona znowu spała. Te drzemki powtarzały się coraz częściej. Była już taka słaba.

– Mikołaj, pamiętasz jak się poznaliśmy – stwierdziła raczej, niż spytała, nie otwierając oczu. Jej głos w pustej sali zabrzmiał niespodziewanie mocno. – Nie mówiłam ci nigdy o tym, ale gdyby nie Janek, nie wiem, czy miałabym odwagę wiązać się z takim dzieciakiem. To on mi przykazał... – Mówienie przychodziło jej z coraz większym trudem. – A teraz ja tobie nakazuję to samo. Umieram, więc mam prawo. Młody jeszcze jesteś, pół życia przed tobą, znajdź sobie kogoś i ułóż to życie. Dobre chwile przeżyliśmy razem. Ale nie noś za długo żałoby w sercu. Nie warto. Jakub już jest dorosły, poradzi sobie. A dobrze wie, że ma zawsze w tobie przyjaciela, odkąd cię poznał, więc i ja jestem o niego spokojna. – Matka wyciągnęła drugą rękę w moją stronę.

Złapałem delikatną dłoń i tak trwaliśmy we trójkę w milczeniu, spleceni tym dziwnym wzajemnym węzłem naszych rąk. Milczeliśmy.